№ 67

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 23 SIERPNIA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

ABDIL i ZARA.

POWIEŚĆ ORYGINALNA.

(Ciąg dalszy.)

Dzień błysnął wielką uroczystością w Tibbie; rozpierzchli tu i owdzie mieszkańcy kupili się w jedną gromadę i przy odgłosie muzyki obnosili na długiej włóczni skrwawioną głowę Araba. Ten, którego jako zwycięzcę zaraz za tym tłumem unosiły ręce dziewic, był wysmukłej i pięknej postaci młodzieniec, z pełnem ognia okiem, któremu duma i szczęście dodawały większego blasku. Ciśnięto się zewsząd, aby go ujrzeć i oznaką hołdu okazać najwyższe dziękczynienie. Były tam pierwsze piękności Tibbuańskie, które pragnęły tylko, aby je młodzieniec miłem udarował wejrzeniem; jego wzrok nie był obojętnym; ścigał je wszystkie, zatrzymał się na każdej i potem wkuty w ziemię, nie wzniósł się nawet ku niebu. — Co to jest, biegają wskroś dziewcząt szepty, czoło młodego, odważnego Boleka było tak jasne jak dzień, cieszyłyśmy się pogodą jego oczu, a teraz.... teraz, zasępił się, jakby mu wydarto kochankę. — O mało nie zgadły dziewczęta: nie wydarto mu jej, ale ona wydarła się z tłumu, aby nie być jego tryjumfu świadkiem. Kto była jego kochanka? o tem nie wiedzieli Tibbuanie, — gdzie znikła? o tem znowu Bolek nie wiedział. Jego oko mniejby uganiało się za pięknościami, mniej cieszyłyby się dziewice, że tak długo wpatrywało się w każdą, gdyby nie śledził tej, której urocze, lube spojrzenie miało uświetnić jego tryjumf. — Ona!... ciężko westchnąwszy, mówił do siebie młodzieniec, — ona jedna tylko nie dzieli powszechnej radości. Wczoraj, kiedy mi pomógł los jednym strzałem przeszyć pierś drapiącego się na skały nasze Araba, moje szczęście nie miało granic; zapomniałem, że czekają mnie za to dzięki, że sławy odgłosem zabrzmi między tysiącem rodzin moje imię; miałem tylko w myśli jeden przedmiot, jedno bożyszcze, u którego nóg pragnąłem złożyć odwagi mojej dzieło. O Zaro!... marzyłem, że pierwsza przyjmiesz mnie w swoje objęcia... a ty szalona! wzgardzasz tym, do którego się ciśnie wybór dorosłych dziewic. Niestety! nie mam już żadnej nadziei,... o nie! mam jeszcze, w podobnejże wzgardzie; wszak znajdę do tego siły. — Tu nagle twarz młodzieńca dawny przybrała wyraz, unoszony ciągle, stanął wreszcie u chaty Naczelnika pokolenia, na szczycie której zatknięto głowę Araba, a wtem rozbiegło się powszechne życzenie, aby wielka uczta była dopełnieniem obchodu.

Zostawmy rozkoszujących wśród uczty, rzućmy gwar, przenosząc się na martwe skały, które posępna okryła cichość. Zrazu niktby tam nie dojrzał żywej istoty; jednakże czarna dziewica, jedna z pierwszych piękności Tibbu, przebiegała je z rozpaczą, zatapiając smętne oko w przepaście i wąwozy: stawa nagle, przychyla ucha i z nieporównaną szybkością spuszcza się w dno jednego wąwozu. Cóż to jest? jakiż-to ją przedmiot wabi? jęk tylko... jęk okropny blizkiego skonu człowieka. Cóż zna-

czy jej krzyk? któryby zagłuszył grzmoty; co znaczą łzy? które ulżyły piersiom, że mogły wyrzec: to on!...: i jeszcze: to on!... i jeszcze z całą mocą uczucia: to on!... Zwróciłże ten głos uwagę jęczącego? ulżyłże jego męczarniom? o nie... on tak uderzył w słuch jego, jak w twardy granit lekkie muchy skrzydło: jęk był silniejszym coraz, wreszcie ucichł zwolna, bo już nie wydawały go piersi, ale organ walczącej prawie ze śmiercią duszy. — Wielki Boże! — wołała rozpaczająca piękność, — przyjdź mi w pomoc na uratowanie jego życia; — bieży i wraca z pełnym liściem kryształnej wody; podnosi zwisłą na wpół umarłego głowę i chłodzący napój wlewa przez zapiekłe usta; lżej odetchnął, a promyk nadziei rozjaśnił czoło czarnej piękności; powtarza leki, i, nieba zrządzeniem, nieszczęśliwy odzyskuje przytomność i mowę.

— Anielska istoto... — rzekł słabym głosem, — Bóg tylko jeden... mógł mi cię przysłać w pomoc.

— Bóg i przeczucie!

— Jak-to?... czyliż wiedziałaś o mojej wyprawie?... czyliż wiadome ci były chęci, że chciałem dobiedz Tibbuanów siedliska?... jakimże cudem przebyłaś tak śpiesznie daleką drogę od Wadanu?...

— Nie, Panie,... ani wiedziałam o chęciach twoich, ani przybywam do ciebie z Wadanu; ja w Tibbie ujrzałam pierwsze światło i Tibb jest mojem siedliskiem.

— Tibb?!... i ty mnie wspierasz, cucisz, i na mój większy podziw, mówisz językiem Arabów?

— O! Panie! mam wiele do tego powodów, że cię wspieram, i odkryję ci to wszystko, z czemhym się nie zwierzyła nikomu i coby umarło ze mną. — Już tysiąc minęło księżyców, jak Władzca Wadanu, mężny twój ojciec, Murga, przedsięwziął na kobiety nasze groźną wyprawę; pamiętam ten straszny dzień, w którym powszechny odgłos: »Araby na górach naszych!« przeraził najwięcej serca płci mojej. Odgłos, napad ich i uprowadzenie kilkuset dziewcząt, były dziełem jednej chwili. Ojciec mój legł pod razami twoich ziomków, a moja matka rzuciła się w przepaścistą otchłań; zostałam sama, sierota, wśród niewolnic Murga; przywiedziono nas do Wadanu i stawiono przed ojcem twoim; robił on wtenczas wybór i kilka tylko, w których liczbie i ja byłam, zostało przy nim, reszta zaś miała być celem pieniężnej korzyści w Fezanie lub walecznych nagrodą. Pamiętam, jak potężny Murga mile mnie uścisnął, rozkazując, abym wolną była od ciężkich robót: schyloną głową i milczeniem, którem pokryłam wdzięczność, dziękowałam mu za dowód jego łaski; przyznam ci się, Panie, że nie ciężką była moja niewola, bo przychylność ojca twego co moment zwiększała moje swobody, i byłam nawet szczęśliwą czasem. Ale któreż szczęście trwałe? niknie ono prędzej jeszcze jak wdzięki kobiecę; o tak! jedno zdarzenie wydarło mi je, a razem i słodką spokojność. Mówiłabym dalej, ale lękam się gniewu twojego, Panie, i gdybym istotnie miała cię obrazić, wolałabym raczej zamknąć na wieki usta.

— O! mów,.... mów,.... choćby w tę powieść wchodził nawet zamach na życie mojego kochanego ojca,... choćbyś ty była pierwszem jego narzędziem,... darowałbym ci z duszy...

— Słuchaj więc: kiedy raz, z innemi niewolnicami, byłam zajętą znoszeniem liści, na ocienienie przedsionku pałacu twojego ojca, usłyszałam tententent koni; zbliżył się potem liczny hufiec Arabów, na którego czele ty byłeś. Nie znałam cię jeszcze, Panie, boś bawił ciągle w Mursuku, ale znała cię reszta niewolnic: »to młody, piękny Abdil! syn naszego potężnego Murgi!« wołały. Zmierzałeś ku nam, byłam ciekawa widzieć cię, i skrywszy twarz pod kawał liścia, spoglądałam na ciebie ukradkiem; tyś się także obejrzał, powitałeś nas uśmiechem; co było w tym uśmiechu, tego ja nie zdołam odgadnąć; pamiętam tylko, że upuściłam liście, osłabłam i przez resztę dnia uwolniono mnie od pracy. Nazajutrz wróciłam znowu do sił i pracowałam jak dnia zeszłego; widziałam cię powtórnie, otoczonego drużyną Arabów, w towarzystwie ojca twego; tym razem skryta między inne, przypatrywałam ci się dłużej i baczniej, i ile razy zwracałeś oczy w tę stronę, gdzie stałam, unikałam ich starannie. Tak dni kilka minęło, a w każdym dniu postanawiałam unikać cię, chociaż co chwila biegłam sycić się widokiem twoim. O! Panie!... ja wtenczas kochałam cię już do szaleństwa!... tyś nie wiedział o tem, tyś mnie nie znał, bo nie miałam odwagi twarz w twarz ci się stawić. Moja niespokojność, czasem obłąkanie, tajemna radość za

każdem ciebie widzeniem, którą jednak zdradzały oczy moje, nie uszły uwagi podstępnej Giugi, pierwszej powiernicy twojej kochanki Zeliki. Giuga odkryła Pani swojej, co postrzega we mnie i że nawet o związkach moich z tobą, Panie, nie wątpi.— Zazdrosna Zelika wyzionęła na mnie wszystkie przekleństwa, kiedym stanęła przed nią; chciałam się tłómaczyć, dała mi czas; ale cóż miałam na swoją obronę? brak słów i pomieszanie, które zdradzało moje uczucia. — »Zginiesz! — zawołała Zelika, — i nie dowie się nawet o tem Murga!« — Rzuciłam się do nóg jej, oblewałam je łzami i prosiłam tylko o życie; wzruszona Zelika nie groziła mi już śmiercią; zawołała starego Araba i wskazując na mnie, rzekła: »Słuchaj, jeźli tę niewolnicę uwieziesz bezpiecznie i tak skrycie do Tibbu, żeby nie tylko Murga, ale nawet nikt z orszaku władzcy Wadanu nie wiedział; dwie dłonie złota.« Na znak przyrzeczenia, schylił się do ziemi Arab; wyszedł, wkrótce powrócił i przez ustronia pałacu ojca twojego wyprowadził mnie do dwóch jucznych dromaderów, na których puściliśmy się w podróż.

— Jakże się zwał uprowadzający cię Arab?...— przerwał z ciekawością Abdil.

— Kaleb.

— Kaleb!... więc to ty jesteś tą Zarą, za którą ojciec mój wieczną niewolą ukarał Zelikę.

— Co słyszę! Panie, Zelika, ach! ona pomimo zazdrości, którą łatwo kochającej przebaczyć można, okazała dla mnie tyle względów. O! gdybym miała sposób rzucenia się do nóg Murgi, prosiłabym o łaskę dla niej.

— Nie zyskałaby jej nigdy!.... ja sam ją teraz potępiam, że ciebie.... ciebie, okrasę niewolnic, schroniła przed okiem mojem.... Ale kończ.... kończ, bo w twojem opowiadaniu jest coś tak lubego, co pokrzepia moje słabe siły i radbym cię wiecznie słuchał.

(Dokończenie nastąpi.)

IMPROWIZATOROWIE KONSTANTYNOPOLITAŃSCY.

Ustęp z dziennika J. Auldios, w czasie podróży po Grecyi roku 1833.

Poszedłem z przyjacielem do kawiarni znajdującej się na Armeńskiem przedmieściu w Konstantynopolu, gdzie w każde święto improwizator popisuje się ze swoim talentem. Kawiarnię tę odwiedza wielkie mnóstwo najznakomitszych Turków, aby usłyszeć powieści sławnego opowiadacza. Zasiedliśmy pod gołem niebem, na długim, w morze wchodzącym terasie, gdzie przeszło sto Turków siedziało także na nizkich krzesełkach, paląc fajki, zajadając kosztowne lody i sorbety, śmiejąc się głośno, rozprawiając pomiędzy sobą, czego nie spodziewałem się bynajmniej po ludziach, uważanych zwykle za milczących i zajętych jedynie rozważaniem poważnej swojej osoby. Ukazał się nakoniec jakiś człowiek we drzwiach kawiarni, klasnął w ręce, a Turcy natychmiast pośpieszyli do izby, gdzie jak gdyby w teatrze ławki w okrąg były ustawione. Znaczny przestwór przed ławkami zajęli znakomitsi goście, posiadawszy na małych stołeczkach; naprzeciwko, przy ścianie, była katedra i krzesło wygodne z poręczami, a po jednej jego stronie znajdował się pulpit.

Wschodni nasi przyjaciele obchodzili się z nami jak najgrzeczniej, gdyż postrzegłszy po naszym europejskim ubiorze, że jesteśmy cudzoziemcami, ofiarowali nam honorowe siedzenie na krzesłach. Wkrótce potem wszedł improwizator, i przy jednogłośnem rąk klaskaniu wprowadzony został na katedrę. Trzymał w ręku maleńki kijek, a z postawy, twarzy i ułożenia podobny był zupełnie do naszych angielskich Mathews. Ubrany był we frak, który tak często można teraz widzieć w Konstantynopolu, a na palcu miał kosztowny brylantowy pierścień, który mu Ali-Basza, jako oznakę szczególniejszego swego zadowolenia, ofiarował. Skoro zasiadł, powszechna cisza nastała w zgromadzeniu; każdy pragnąc się ubawić, zdawało się, że najmniejsze słowo z ust jego chciałby pochłonąć. Żaden bajarz w Konstantynopolu nie miał takowej sławy i nie był tak powszechnie lubionym, jak ów turecki Mathews, który powstawszy z krzesła, i po trzykroć nizko skłoniwszy się towarzystwu, zaczął prawić swoją powiastkę, z niewymownem mnóstwem naśladowniczych giestów, której Turek z Alepu, Jorkshiru albo Kalabryi wschodu był bohaterem. Wystawił, jak wschodni ten awanturnik wybiera się na wódrówkę, chcąc świat cały zwiedzić i zrobić sobie szczęście. Przebiega rozmaite kraje. Niekiedy

biorą go za przebranego Baszę; wszędzie przyjmują go jak najlepiej i z jak największem uszanowaniem; wykrywa się nakoniec kto on jest, dostaje bastonadę, wytargany jest za brodę i rozmaitemi sposobami poniewierany. Zwiedza potem Anglię, Francyję i inne kraje; w powrocie schwytany jest od morskiego rozbójnika, który go uprowadza w pustynie afrykańskie. Podczas tej przymuszonej podróży napada go najgwałtowniejsza morska choroba, którą improwizator tak wiernie i naturalnie przedstawił, iż zdało mi się zupełnie, że mnie znowu napada taż sama słabość, jak niegdyś, gdym na okręcie Akteon pierwszy raz przebywał morze Adryjatyckie.

Wreszcie, po wielu innych przygodach, przybywa zdrowo do Alepu, rodzinnego swojego miasta, nie bogatszy jak wyjechał, lecz jak owa małpa, co świat zwiedziła, pełen najosobliwszych powiastek i najdziwaczniejszych mniemań. Sposób, w jaki uniknął nie jednego grożącego niebezpieczeństwa, straszliwe przygody, w których się znajdował, bąki, jakie koniecznie musiał strzelać, nie znając dokładnie mowy rozmaitych narodów, pomiędzy któremi przebywał, najkomiczniejsze dwuznaczenia i kalambury, śmieszne jego pomyłki w wykonaniu odebranych rozkazów, nie raz oberwane policzki, bastonady, szczutki, uwięzienia i oswobodzenia, trafno-satyryczne jego spostrzeżenia, do których dały mu powód rozmaite widziane przedmioty, kraje i obce mody, wszystko-to podało sposobność jenijalnemu mimikowi, dania nam najświetniejszych dowodów rzadkiego swojego talentu. Zmiana jego głosu, ułożenia, spojrzenia i giestów, stosownie do przedstawionego przezeń charakteru, niezmiernie była śmieszna i zabawna. Przeszło dwie godziny siedziałem słuchając i śmiejąc się z największem ukontentowaniem, a zajęcie moje i uwaga do końca się nie osłabiły. Turcy rzeczywiście tarzali się ze śmiechu, wykrzykiwali głośno, radowali się jak dzieci, i tysiącznemi dziwactwy okazywali swoje zachwycenie. Nie raz hałaśna ich radość aż nadto objawiała, iż udało się improwizatorowi przedstawić satyryczny obraz jakowej znajomej im osoby. Za każdą pauzą, konieczną opowiadaczowi do wytchnięcia, gdyż gwałtowna gestykulacyja niekiedy zupełnie sił go pozbawiała, obnoszono drewnianą miseczkę, na której każdy z widzów miał złożyć jakową ofiarę. Szczodrota słuchaczy wyrównywała zadowoleniu, jakiego doznali, i obfitem żniwem srebrnej monety wynagrodzony został za poniesione trudy w ubawieniu towarzystwa.

STARODAWNE NAZWISKO SZWECYI.

Szwecyja zwała się niegdyś *Swithiol*, od pierwotnych mieszkańców swoich *Swenionów*. Jeografowie przekształcili to imię na *Swithioud*, *Suecia*, zkąd poszło później *Szwecyja.* Naród szwedzki zowie sam siebie *Swenska*, od wyrazu *Swen*, który zarazem znaczy w ich mowie: *młody*, *ślachetny wojownik.*

DRZEWO GRZECZNE.

W Arabii Szczęśliwej rośnie drzewo, nazwane od Europejczyków *Genus mimosa*, które ma tę szczegulną własność, iż schyla swe gałęzie, gdy kto pod liściem jego przechodzi, jak gdyby chcąc oddać pokłon spoczywającym pod jego cieniem.

ŹRÓDŁO GŁODU.

Źródło to, wytryskające niedaleko Narni, we Włoszech, dla tego tak nazwanem zostało, gdyż uważano, że wydaje jedynie wodę, aby obwieścić, że rok następny będzie nieurodzajny. Zjawisko to poświadczają archiwa miasta Narni, gdzie jak najwierniej zapisano lata, w których to źródło płynęło, i nieurodzaje, które po nich nastąpiły.

KOS BIAŁY.

Mało gatunków ptaków przedstawia tyle rozmaitości co kos. Lecz zdaje się, że dotąd nigdy ptak ten nie okazał się pod świetną barwą zdobiącą łabędzia, jak to pospolite nawet dowodzi przysłowie, często we Francyi używane: *Dam ci kosa białego.* Pomimo tego jednakże w Senegalu, krainie Bambuk i Galam, znajdują się kosy zupełnie białe. Istnienie kosa białego nie jest więc urojeniem, i śmiało złapaćby można za słówko tego, coby użył takowego przysłowia.

SPROSTOWANIE.

W przeszłym Nrze Rozmaitości, na stronnicy ostatniej, przedziałce 1wszej, wierszu 6tym z góry, czytaj *mrok*, zamiast *wzrok.*
